
SZTUKA
LITERATURA
IDEA

Cena niniejszego numeru 1 zł, we Francji 2 franki.

LE PAON BLANC

BULLETIN POLONAIS D'ART ET DE LA LITTÉRATURE

SÉRIE NOUVELLE. 1927 JANVIER — FEVRIER.

DIRECTEUR: CEZARY JELLENTA

PARIS — *15, rue Delambre*

VARSOVIE — *Hoża 39 m. 26.*

NIEKTÓRE Z GŁOSÓW PRASY O SERJI POPRZEDNIEJ „BIAŁEGO PAWIA"

„Pierwszy numer, zatytułowany „Sygnał Białego Pawia" podchwytuje potężne dzisiaj hasło sanacji moralnej i żąda takiejże odnowy i reformy w życiu artystyczno-literackiem i w stosunku rządu do pracowników literatury i sztuki. Szereg artykułów, jak „Odcinek Krzysztofów", przypominający o tych, „co na swych barkach przenieśli Niepodległość przez rzekę niewoli", jak „Wałachy Atylli", (p. Stanisław Grabski et consortes), „Taksometry krytyki", „Bussole Kacyków" i inne, odznaczają się wielką siłą słowa; wezwania są lapidarne i pięknie napisane. „Sygnał" niewątpliwie poruszy umysły i stanowić będzie dokument chwili".

„Kurjer Poranny".

„Drugi numer biuletynu krytycznego „Biały Paw" wychodzącego pod redakcją Cezarego Jellenty, zawiera kilka cennych artykułów. Wyróżniają się: silna charakterystyka zmarłej niedawno znakomitej poetki i filozofki Marji Grossek-Koryckiej, ilustrowana kilkoma nieznanemi sonetami; dalej: „Zgon żywej legendy", którą tworzył Adam i Władysław Mickiewiczowie, przyczem bogaty jest w myśli szkic portretu obudwu. Dosadnym dowcipem odznacza się satyra djalogowana „Pantadei'a", jako odpowiedź na nieprzemyślane bagatelizowanie „Pana Tadeusza". Bardzo ciekawie i przekonywująco wypadł sąd o „Nieboskiej" Krasińskiego w teatrze im. Bogusławskiego, stanowiący pewnego rodzaju „votum separatum" w ogólnej opinji.

Wszystkie oceny i sprawozdania cechuje śmiałość tonu i niezawisłość godna uwagi".

„Kurjer Poranny".

„Sierpniowy numer „Białego Pawia", biuletynu artystyczno-literackiego, wychodzącego pod redakcją Cezarego Jellenty, zawiera szereg krytycznych sprawozdań z najnowszych książek poetyckich i literackich. Omówione są między innemi, książki Boy'a, Tadeusza Peipera, Juljana Tuwima, Eugenjusza Płomieńskiego i in. Prócz tego numer zawiera kilka energicznych, żywo i dosadnie pisanych artykułów o przyszłości kinematografu, o t. zw. marazmie teatralnym i projekcie ogólnej organizacji teatrów w Polsce i t. p. Całość, choć nie imponująca rozmiarami, odznacza się aktualnością i dotyka ważniejszych problemów i zjawisk z życia twórczego i kulturalnego". *„Nowy Kurjer Polski"*

„... Ostatni, sierpniowy numer tego biuletynu, wydawanego wykwintnie choć prosto, odznacza się, jak i poprzednie, siłą słowa, wielką dosadnością krytyczną i tonem wybitnie niezawisłym". *„Nowa Reforma"*

„W czerwcu b. r. wznowił swój żywot „Biały Paw", biuletyn literacko-artystyczny, redagowany przez Cezarego Jellentę.

Pismo to zmartwychwstało bezpośrednio po przewrocie majowym — po to, by — czyn oswobodzicielski prawowitego Wodza pochwycić u bram polityki i przepuścić przez bramy, wiodące do literatury, sztuki i wszelkiej pracy twórczego mózgu.

Obecnie wyszedł Nr. 4 — wrześniowy, zawierający prócz szeregu ocen i sprawozdań z najnowszych naszych utworów poetyckich — również kilka bardzo żywo i dowcipnie napisanych artykułów — jak „Varsovie — Plaisir", „Drugi sygnał" oraz „Prezzolini i Mussolini".

„Polska Zbrojna" Nr 284.

R. 1927. WARSZAWA—PARYŻ STYCZEŃ—LUTY.

„BIAŁY PAW"

BIULETYN ARTYSTYCZNO-LITERACKI

SERJA PARYSKA.

NUMEREM niniejszym rozpoczynamy szereg biuletynów paryskich. Będzie to trzecia serja „Białego Pawia". Pierwsza — z przed dwóch lat — poświęcona przeważnie teatrowi i muzyce, ustąpiła po dłuższej przerwie — miejsca drugiej, znacznie więcej literackiej i ogólnie artystycznej.

Ta druga serja, przypadająca na drugie półrocze r. 1926 była jak i pierwsza, tylko niewielkim kagankiem — ale świeciła mocno i pomogła wyjść opinji tych, co jeszcze żyją życiem umysłowem — z ciemności i zatracenia się w chaosie. „Sygnał Białego Pawia" — takie było miano pierwszego numeru i pierwszego apelu — obudził echa i wtóry. Niektóre echa były nienawistne. Cześć im za to! Uczciwa, gniewna nienawiść i uczciwa napaść są stokroć lepsze i więcej warte od cichej, milczącej, bojkotującej zawiści eunuchów — starych czy młodych i choćby najmłodszych, których jedyną możliwością jest podpatrywanie przez dziurkę od klucza — wielkich cudzych rozkoszy bojowych myślenia. Przerąbywania się przez dżungle ciemnoty nie mogą oni zrozumieć, bo zamiast siekier mają papuzie pióra.

Serja paryska będzie w przeważnej swej części kalejdoskopem życia sztuki polskiej, szukającej nauki lub dobrowolnego wygnania w Paryżu. Życie to jest rozległe i przybrało wiele kształtów. Chce ono być widzianem i znanem w swej pierwszej ojczyźnie, Polsce — i na pierwszą wieść o odwiedzinach i wywiadach „Białego Pawia" — żywo i sympatycznie się poruszyło.

Takich odwiedzin twórcza Polska w Paryżu się domagała. Nie mogą jej wystarczać sprawozdania i korespondencje, opiewające fakta — pragnie ona także, żeby spróbowano odgadnąć jej charakter i przeniknąć jej duszę, określić naturę talentów i stosunek ich do wielkiej szkoły — Paryża.

Silna solidarność interesów, łącząca Polskę z Francją, stworzyła też pewne dążenia spowinowacenia się duchowego. Stąd nowe pola działań i obserwacji. Polska paryska to już nie Polska emigrantów, żałosna lub patetyczna, elegijna i bezdomna, zagubiona w snach, wizjach i modlitwach — lecz wielka kolumna pracowników, świadomych swych praw międzynarodowych do chwały, do nauki i do szerszego, wyzwolonego życia.

Siedzą tam, nad Sekwaną, z dobrej i nieprzymuszonej woli, rozumiejąc lub czując, że sztuce potrzeba szerokiego tchu, mocnego rytmu, głębokiej wiedzy i umiejętności, pozbycia się zaściankowego zadowolenia z siebie i zrzucenia powijaków wszelkiego prowincjonalizmu — i obcowania z wielkimi geniuszami Fidjaszów, Rembrandtów i da Vincich, Rodinów i Cezannów i całego nieprzeliczonego panteonu realnych bogów i niezawodnych mistrzów — mistrzów nietylko plastyki ale i muzyki. Siedziba pośmierłna tych mistrzów — wzorów: Luwr i Muzeum Luksemburskie—nadaje Paryżowi piętno specyficzne. Bez obcowania z nimi — dłuższego czy krótszego ale bezpośredniego, bez wczytywania się w ich sekrety twórcze, prawdziwy plastyk nie czuje w sobie spokojnego sumienia. Jest oderwany od ziemi i od nieba...

Nie wielosłowna będzie ta serja paryska, ale w jej żyłach krążyć będą soki zdrowe i — mamy nadzieję — płodne.

DWIE TWARZE POLONJI PARYSKIEJ.

DWIE TWARZE ma Polonja paryska i tem samem Polonja francuska. Lewa—to płacz i zgrzytanie zębów, to tysiące robotników wydalonych z fabryk, to Inferno na Gare du Nord, wobec którego piekło dantejskie jest tylko bladym gwaszem poezji.

Podczas, gdy przybysz ze Stanów Zjednoczonych lub Anglji sarka na spadek dolara i funta przy butelce szampana — polak opiewa okrucieństwo giełdy marszem, wygrywanym przez puste jelita.. Wszystkie groźby, że frank odrodzony wypędzi z Paryża cudzoziemców, bo życie kosztuje ich teraz dwa razy więcej niż przed dwoma miesiącami — spełniają się tylko na tych, co tu pracują i tworzą, lecz nie na tych, co tylko konsumują i bawią się, a w najgorszym razie nic absolutnie nie robią.

Ta lewa strona Polonji to także i pozostałość po dawnych romantycznych „potępieńczych swarach", to wielka liczba niepotrzebnych, bezpłodnych egzystencyj, szukających po Paryżu czego nie zgubiły. Wnoszą one wszędzie, gdzie się pognieżdżą trochę, atmosferę nudy i bezcelowości istnienia, lub też jakiegoś łazikowskiego stosunku do sztuki i kultury.

Ale strona prawa zawiera też nie mało treści. Na niej wyryty jest prawdziwy orzeł. Pod jego skrzydłami działają ci publicyści, dziennikarze i działacze polscy, którzy zrozumieli, że sześćset tysięcy polskiego ludu, pracującego we Francji, to cały wielki problemat narodowo-polityczny i społeczny. Wielka praca organizacyjna i oświatowa wyszła z otwartemi ramionami na spotkanie tej masie zdolnych robociarzy i majstrów i dokonywa rzeczy, które nie krzyczą głośno, ale są wiekopomne. Dzienniki, szkoły, religja dla polaków — stały się olbrzymią skombinowaną ofensywą, skierowaną przeciwko nędzy, ciemnocie, wynarodowieniu i demoralizacji. Ciekawe to zjawiska życia polskiego wśród społeczeństwa tak bliskiego politycznie, a tak dalekiego i obcego ustrojem; tak dalekiego uczuciem i zwyczajami, a tak bliskiego zdolnością, talentem i tradycjami istotnego humanizmu i wolności.

Dalszy ciąg tej prawej strony to już tylko w samym Paryżu się odgrywa, wśród nie mało licznych też kół inteligencji polskiej. Pracują one w wielkich instytucjach braterstwa polsko-francuskiego, w kooperatywach kultury, we własnych, samopomocą stworzonych organizacjach o celach i ambicjach wysok ch, jak np.: „Polskie Towarzystwo przyjaciół książki" i inne. A przytem wzbiera powoli fala urządzeń kulturalno-sojuszniczych i czasami naprawdę wydaje się, iż zaczynają one czynić wyłom w francuskich uprzedzeniach, bezlitosnym sceptycyzmie i nawet wprost niechęci—sprowokowanych przez nieufność, ślepotę i ciasnotę rodzimą i przez intrygę cudzą, krótko mówiąc, przez prusaków niemieckich i przez prusaków miejscowych.

Mówię wam—tu są niesłychanie interesujące rzeczy: te chwile spadania katarakty z oczów, te spostrzeżenia, że patrzyło się i widziało źle i mętnie, te hasła łączenia się w stadła małżeńskie polsko-francuskie i to rosnące zaufanie do wysokich wartości polaka, przyćmionych przez pijaną senność, zaprószonych przez nieróbstwo, zamaskowanych przez całe jednostulecie. Psychologowie! Noweliści! Badacze! Poeci! Zamiast opiewać rymami lub półrymami „skok o tyczce"—przyjeżdżajcie tu, patrzyć, jak się kombinują z sobą intelekty, jak pr yskakują do siebie z pazurami, ażeby się w końcu ucałować serdecznie; jak dwa gatunki: wątpicieli i zapaleńców, macają się nawzajem, ażeby w końcu znaleźć coś tam wspólnego i jednoczącego. To są tematy, fakty, dziwy, a nie słoma i nie trociny na feljetony!

Widocznie istnieje zdolność wzajemnego rozumienia się, skoro np. francuzi umieją bezstronnie oceniać zbiorowe manifestacje sztuki polskiej. Zeszłoroczny pawilon nasz na wystawie dekoracyjnej był świetnym punktem skrzyżowania

się dwóch tendencyj: Polacy wystąpili skromnie i poetycznie, prawie że po spartańsku powściągliwie, ale za to nie po kramarsku, samorodnie, oryginalnie, z ukrytą gdzieś w dalekiej głębi bajką ludową; francuzi zaś tę fantazję i powagę ocenili. — Sztuka to ta sfera, w której oni właśnie na największy pietyzm się zdobywają; na to zawsze liczyć można.

Nie trzeba się obawiać, że gdzie mało eksperymentalnego efektu lub sensacji, tam widz paryski pozostaje nieczuły. Gap pospolity—być może; gapie pospolici, niedzielni, są wszędzie jednakowi. Ale znawcy, miłośnicy i szlachetniejsze snoby odrazu przebiją się przez obce formy i styl — i odgadną rdzeń i grunt wysiłku rzetelnego. Wysiłek zaś ten istnieje.

Jest to zjawiskiem częstokroć ważnem, a prawie zawsze przyjemnem, że plastycy polscy wogóle, przy każdej sposobności występowania zbiorowo, składają się, mimochcąc, na pewien akord rozumny i odczuty. Można to było zauważyć nie tylko w „Salonie jesiennym", tej olbrzymiej defiladzie nicości i genjuszów, oraz w „Salon du Franc", gdzie malarze i rzeźbiarze złożyli dary na podniesienie waluty francuskiej. Oczywiście ze strony inicjatorów był to tylko szlachetno-naiwny pomysł, albowiem nie pędzlem i nie dłutem uzdrawia się finanse wielkiego państwa; zaś od posmarowania maścią z kilkuset tysięcy franków wpływu, nie staje na mocnych nogach taki pacjent ciężki i uparty. Jeśli ozdrowiał, to dzięki czynnikom innym, mocniejszym. Polacy o tem wiedzieli pewnie, ale na wezwanie odpowiedzieli, jak oni zawsze, giestem szerokim. I oto znowu rozmieszczeniem ich—w muzeum Galliera—kierował traf, a przecież stworzyli coś w rodzaju grupy. Coś uchwytnego ich łączyło: wszyscy dawali pewną treść, żaden nie chciał epatować burżuazji. Dowiedli całkowitej niezdolności do pustki i słabości. Dali wyraz jakiemuś gorętszemu i uczciwszemu stosunkowi do sztuki. Wszędzie było jakieś podglębie prawdy artystycznej.

Tak samo teraz znów, już w miesiącu grudniu, w „Atelier Lachenal", gdzie wystawiają inwalidzi wojenni, wychowani na ceramistów-artystów, gdzie w imię solidarności międzysojuszniczej, wystawili swe dzieła kombatanci różnonarodowi, polacy również ton swój utrzymali.

Daleki jestem od tego, żeby w tym tonie widzieć jakąś szkołę lub styl. To jest poprostu zaleta i właściwość. Nie należy się ich wstydzić i nie należy się też cofać przed pewnym sentymentem lub pewną większą przewagą nastroju. Dobrze, że są, że odrębna nuta gra. Aczkolwiek jest niekiedy stłumiona, ci, co mają uszy, słyszą ją. Francuzi zaś, pomimo całej pozornej ekskluzywności swego smaku — mają słuch doskonały.

*

Nie wszystkie walory tej prawej strony medalu wyczerpiemy na tem miejscu — zabrakłoby go i trzeba wiele odłożyć na przyszłość. Wszakże jedno muszę podkreślić, choć w tem dotknę z konieczności własnej osoby. Lecz nie o tę osobę tu chodzi. Mogą ją najserdeczniejsi pomówić o próżność. Mogą, jeśli na to są dostatecznie głupi, zarzucić jej autoreklamę. Lecz niedorzecznością byłoby nie wspomnieć o zachowaniu się francuzów w tym oto wypadku.

Odczyt swój, wygłoszony w Sorbonie: „L'idéal de la Pologne contemporaine et ses manifestations dans l'art et la littérature" — powtórzyłem z inicjatywy Tow. „Les amis de la Pologne" i na zaproszenie merostwa, w mieście St. Lô w Normandji. Nie wolno mi przemilczeć chwili istotnego wzruszenia, które ogarnęło cały teatr, gdy prof. Fuster, inspektor Akademji Normandzkiej, przedstawiając mię tłumnie zebranej publiczności przed rozpoczęciem prelekcji, zakończył swe mądre i gorące przemówienie słynnym okrzykiem Floqueta *Vive la Pologne!* I nie wolno mi również utrzymywać w tajemnicy — że odczyt mój był kilkakrotnie przerywany burzliwemi oklaskami.

Proszę sobie to uprzytomnić: Na krańcach Francji, siedem godzin od Paryża, w mieście rdzennie francuskiem, gdzie już złośliwość kochanych rodaków nie mogła mówić o przewadze publiczności polskiej, gdyż w St. Lô polaków niema — takie objawy serdeczności, inteligentnego współrozumienia, wrażliwości na ideę przymierza dwu narodów, nie mówiąc już o dowodach najdelikatniejszej gościnności!

Czy to nie jest jeden z najpiękniejszych szczegółów prawej strony medalu? I czy to nie jest światło? *Cez. Jellenta.*

DO PANI LUTECJI.

DYTYRAMB.

LUTECJO! KIEDY ŚWIAT WYWRACA KOZŁY W KONWULSJACH LUB BŁAZEŃSTWIE, TY SIEDZISZ SPOKOJNIE NAD BRZEGAMI SEKWANY, RASOWA I LITERACKA, JAK TWOI DUMASOWIE I POECI W MARMUROWYCH FOTELACH NA PLACAGH I W PARKACH. NIEWSTYDNA, ROZSTAWIŁAŚ NOGI, ŻEBY RZEKA SWOBODNIE PRZEPŁYWAŁA MIĘDZY NIEMI. NA BRZEGACH STŁOCZYŁAŚ MALOWNICZO MASY SWYCH SĘDZIWYCH BUDOWLI, NA PODZIW GAWIEDZI Z OBU KONTYNENTÓW, SZUKAJĄCYCH TUTAJ WIECZNEJ HARMONJI.

NIECH SIĘ ZAMORZOM WYDAJE, ŻE BERŁO CYWILIZACJI PRZESZŁO DO LONDYNU I NEW YORKU. POWIEDZIAŁAŚ IM SŁUSZNIE: WASZE OKRĘTY SĄ „ZAWSZONE". A CHOĆBY CIĘ ZATAPIALI ZŁOTYM DESZCZEM DOLARÓW I FUNTÓW, MASZ DLA NICH ODPOWIEDŹ: „OWSZEM, DOLARY BIORĘ, ALE NIE JESTEM NA SPRZEDAŻ".

ZACHOWAŁAŚ W CAŁEJ CZYSTOŚCI, POMIMO ZUBOŻENIA I BEZLIKU INWALIDÓW TWOICH, — IDEALNĄ PROPORCJĘ MIĘDZY INTERESEM A HONOREM. NIE STAŁAŚ SIĘ ANI WIAROŁOMNĄ, ANI PODSTĘPNĄ KUŹNIĄ ZDRADY, ANI SPEKULANTEM, ZATRUWAJĄCYM PODLEGŁE PLEMIONA WYWAREM Z OPIUM, ANI WOJENNYM, UNIWERSALNYM LICHWIARZEM. POMIMO MNÓSTWA SWOICH KOKOT, ZACHOWAŁAŚ CZYSTOŚĆ DOMU I MASZ PRAWO MÓWIĆ O „DUMNEM SWEM IMIENIU".

INNI MOGĄ MÓWIĆ O SILE, O POTĘDZE, O PANOWANIU NAD MORZAMI, O WŁADZY NAD ŚWIATEM, O NAJWIĘKSZEM PIĘKNIE CZARNYCH KOSZUL, TY, CHOĆ CI TYLE KRWI UTOCZONO, ZACHOWAŁAŚ JASNOŚĆ SPOJRZENIA I ROZUMU, I POGODNĄ DUSZĘ I WESOŁĄ TWARZ, WZOROWY, MĄDRZE OBLICZONY, STOSUNEK DO MATERJALNYCH PRAW ŻYCIA, KTÓRYCH NIE WYNOSISZ POD NIEBIOSA, ALE I NIE LEKCEWAŻYSZ. TY WOLISZ NAGOŚĆ SWEGO CIAŁA, ETERYCZNIE WYMODELOWANĄ PĘDZLEM RENOIR'ÓW, NIŻ WSZELKIE OBSŁONKI FANFAROŃSKIEJ OBŁUDY.

LUTECJO! JESTEŚ ŻYWEM WCIELENIEM RÓWNOWAGI MIĘDZY IDEĄ A SOBKOSTWEM, KTÓRĄ KAŻDY CZŁOWIEK NORMALNY I ROZWINIĘTY W SOBIE PIASTUJE. I DLATEGO W TWOJEM OTOCZENIU KAŻDY ODNAJDUJE SWOJE LEPSZE JA, KTÓRE W JEDNOSTCE NIE DAJE SIĘ ZIŚCIĆ. KAŻDY JEST JAK U SIEBIE W DOMU, PRZEZ SIEBIE W SZCZĘŚLIWEJ CHWILI ZBUDOWANYM, I WOLI TWOJE SKROMNE POKOIKI OD SWOICH APARTAMENTÓW.

MOCARZE ŚWIATA I WŁADCY OCEANÓW, IDĄC KU TOBIE, ZOSTAWIAJĄ W DOMU SWĄ PYCHĘ I AROGANCJĘ I TRUCHLEJĄ PRZED SUBTELNĄ RÓZGĄ TWEGO SZYDERSTWA I TWOJEJ NIEUBŁAGANEJ KRYTYKI.

NIEMA W TOBIE NADMIARU PRZESYTU, ANI TANIEJ KRWI BYCZEJ, ANI SYBARYTYZMU BOGACTWA ANI ZUCHWALSTWA OREŻA, ANI SŁOWIAŃSKIEGO SŁANIANIA SIĘ W LIRYZMIE. MASZ TYLKO SWÓJ GENJUSZ PRACY WYTRWAŁEJ, SZYBKIEJ A UŚMIECHNIĘTEJ, I JEGO SIOSTRĘ BLIŹNIACZĄ—WOLNOŚĆ. TA PARA RODZEŃSTWA RZEŹBI TWÓJ BLOK GRANITOWY W IDEALNĄ GRUPĘ NIEUSTANNEJ TWÓRCZOŚCI I CZCI DLA ARTYSTYCZNEGO RZEMIOSŁA.

TY DAJESZ SCHRONĘ I POZWALASZ BYĆ SOBĄ WSZYSTKIM FILOZOFJOM I RELIGJOM, WSZYSTKIM KULTOM I ŚWIĘTOŚCIOM, ASYLU KRÓLÓW NA WYGNANIU, GOSPODO WSZELKICH EMIGRANTÓW, WIECZERZO PAŃSKA UDRĘCZONYCH W OJCZYŹNIE!

. . . .

PANI LUTECJO! TWOJA KATEDRA STOI NA TWEJ WYSPIE, JAK SFINKS OLBRZYMI O DWÓCH GŁOWACH, Z SZEROKIEMI PIERSIAMI, ODMIERZONEMI PRZEZ GOTYCKICH FIDJASZÓW, A MLEKIEM

WIARY KARMI CZTEROMILJONOWĄ RZESZĘ. W OGROMNY KADŁUB JEJ ABSYDY WSZCZEPIŁY SIĘ Z TRZECH STRON ŚWIATA ŁUKI PRZYPOR, AŻEBY JĄ SYNOWSKO WESPRZEĆ I NIE DAĆ ŹRĄCEJ SILE STULECI.

JESTEŚ CAŁA JAK SPIŻOWA FONTANNA CARPEAU NA SKWERZE OBSERWATORJUM, JAK JEJ, DĘBA STAJĄCE RUMAKI FREMIET'A, I TAK WYPEŁNIASZ POWIETRZE TĘCZAMI KROPEL, ŻE NAWET ŻÓŁWIE WYSZŁY Z POD WODY, OŻYWIŁY SIĘ I MYŚLĄ, ŻE MAJĄ SKRZYDŁA. ALBOWIEM U TWOICH STÓP WSZYSTKO SIĘ BUDZI DO ŻYCIA I RUCHU, TWOJA ATMOSFERA ZAPŁADNIA, U TWOJEGO OGNISKA SKŁADAŁY SWE JAJA PTAKI RAJSKIE POLSKIEGO ROMANTYZMU, BRZEMIENNE NASIENIEM ARCYDZIELNEM.

JESTEŚ WIEŻĄ BABEL, NA KTÓREJ GADAJĄ WSZYSTKIEMI JĘZYKAMI GLOBU ZIEMSKIEGO, ALE ZAMIAST SIĘ POMIĘSZAĆ W TARGOWICĘ, ROZUMIEJĄ SIĘ WZAJEM I GODZĄ WE WDZIĘCZNEJ SYMPATJI DLA TWOJEJ DUCHOWEJ ŻYZNOŚCI.

NIE UFASZ TYLKO — WPROST PRZECIWNIE — POZOROM WIELKICH JEDNOŚCI I BRATERSTW SIĘ BOISZ WIĘCEJ NIŻ SPORÓW. NIE WIERZYSZ LIGOM NARODÓW I MIZDRZĄCYM SIĘ WROGOM Z PRAWA I Z LEWA. DOSTRZEGASZ NA DNIE KIELICHÓW Z NAPISEM „KOCHAJMY SIĘ"—JUDASZOWE SREBRNIKI I MASZ DLA NICH UŚMIECH IRONICZNY WOLTERA.

KIEDY CZŁOWIEK, ZRZUCIWSZY Z SIEBIE PŁASZCZ TOWARZYSKIEGO PRZYMUSU, SPACERUJE PO NIESKOŃCZONYCH NADBRZEŻACH TWEJ RZEKI I OGARNIA CIEBIE CZYSTEM, SZCZEREM, NIEZAWISŁEM OKIEM—DOZNAJE WZRUSZENIA, KTÓRE SIĘ RÓWNA PRAWIE SZEPTOWI ZACHWYTU:

O, PANI LUTECJO!

WYSTĘPY BENJAMINKÓW W PARYŻU.

1. Jarosława Iwaszkiewicza „Hilary syn buchaltera". 2. „La pecheresse innocente" Wacława Grubińskiego.

PARYŻ jest głęboko nieufny; po literacku nazywa się to: „sceptyczny". Polscy zaś pisarze, nie zamieszkali w Paryżu, dokładają wszelkich sił, ażeby tę nieufność zamienić w niewiarę, zaś niewiarę w szyderstwo.

Nie wiadomo, czyja to była myśl: przetłómaczyć na francuski książkę Jarosława Iwaszkiewicza pod powyższym tytułem. Więc już w olbrzymiej i bogatej literaturze polskiej nie znaleziono innej powieści, żeby olśnić paryżan? Więc trzeba było koniecznie tak wystąpić, żeby „Candide" drwił i druzgotał, a drwił i druzgotał — słusznie? W Warszawie zamilczano o tym fatalnym sukcesie autora zdolnego, ale który niewyszedł jeszcze z okresu benjaminkowego, studenckiej pewności siebie i pewności, że za nim idzie ławą dziesięciu mężnych muszkieterów (z wystrzelonemi przeważnie nabojami). Ściągać szyderstwo i ironiczne pytania: „A co to takiego?" — na cały naród, czyż to mają być trofea? Chcieć gospodarować w centrum świata, tak jak się gospodaruje w kieszeniach kilku księgarzy warszawskich, to ma być mądre i artystyczne? Czyż to nie było raczej ukazanie się na bulwarach jakiegoś kacyka afrykańskiego lub azjatyckiego, którego wnet odzierają ze skóry kpiarze z cabaretów — niż występ autora polskiego?

Stosunkowo mniej nieszczęśliwym był debiut Wacława Grubińskiego w Paryżu. Na scenie teatru „des Mathurins" wystawiono „Niewinną grzesznicę" — przystosowaną — i zmienioną do niepoznania. Sztuka nie budzi drwin — i już tylko stałe pytanie: „A co to takiego"? Gdy takie pytanie rodzi się w teatrze, to odrazu, niby assafoetida, wypłasza słuchaczów. Nie przychodzą wcale; w teatrze — warszawskie „puchy". W dodatku pani Francis, w roli Solskiej, nie nadaje się do niej. Ludzie życzliwi i pobłażliwi, nie szukający koniecznie tematu do urągania, powiadają: Sztuka Grubińskiego padła ofiarą złej obsady. Nieprawda: nie padła sromotnie — to pierwsze. A po drugie jej wegetacja na scenie francuskiej jako tako ocala cześć autora. Trzeba pamiętać, że to bądź co bądź rzadkość, żeby komedja polska wogóle dostała

się na deski sceniczne jakiego bądź teatru paryskiego. Tem się pewnie W. Grubiński połechce i uraduje. Bo jak są w Warszawie Guciowie, tak jest i Wacio — Wacio Grubiński, drugi benjaminek, częstowany i psuty łakociami, i temu ta złuda sukcesu powinna wystarczyć. Gdyby był dużym Wacławem Grubińskim, takie powodzenie zapisał by mężnie na rachunek pierwszych kotów i może by zrozumiał taki oto pewnik, — a zrozumieć nie byłoby może tak trudno jego intelektowi bądź co bądź logicznemu i mającemu swoją jasność i pewną świetlistość:

Francuzi są narodem niesłychanie wyrobionym literacko. Na każdym kroku trzeba podziwiać subtelność ich narzędzi pisarskich, olbrzymie doświadczenie i wysoką miarę techniki i formy, i przedewszystkiem, pierwszorzędne wykształcenie i obycie z wielkiemi wzorami. Nie należy budować nigdy na ich pobłażliwej wrzekomo ciekawości wobec obcych literatów. Owszem, rzeczy istotnie wartościowe, nie wyśrubowane przez czarną giełdę lub jakieś bractwo — napewno znajdą tu posłuch, pomimo egoistycznej rezerwy Paryża i nawet jawnej konkurencyjnej niechęci dla etranżerów. Lecz rzeczy bardzo paryskie — są tu niepotrzebne, zbyteczne, paryżanie mają ich znacznie więcej, niż dzieci; zaś za bardzo paryskie — jak „Niewinna grzesznica“ czynią wrażenie natrętctwa i usłużnego naśladownictwa.

Sztuka Grubińskiego miała sens w Warszawie, gdzie pewne prawdy buduarowe są nowością, gdyż dotąd były tylko fakty buduarowe — gdzie pewna odwaga cywilna w ujawnianiu groteski życia płciowego ma swoją rację. Ale w Paryżu?.. Jest to odwieczny, przedwieczny jawny grzesznik. Robi, ale nie mówi, a jeśli mówi, to jak? Z jakim smakiem i wdziękiem, z jakim zawsze nowym, twórczym, pomysłowym dowcipem! Tu cynizm nie jest cyniczny, tylko zgrabny, nikogo nie kompromituje i nie gorszy.

Do sztuki Grubińskiego francuz stosuje słowa, które wyrzekł przy całkiem innej sposobności, na poranku poetów francuskich, Maurycy Rostand, z okazji takich zuchwałych, a przecież cudownie zręcznych żonglowań treścią skandaliczną, jak „La Prisonnière”, dobiegająca setki przedstawień:

„Niemoralną jest nie analiza pewnych uczuć, istniejących w naturze, lecz paradowanie niemi w teatrze. Wiecznie to samo łóżko i ta sama kołdra, pod którą ruszają się cztery nogi — czasem nawet sześć nóg. Ustawicznie te same liche, zużyte kawały...”

„POLOGNE LITTÉRAIRE“.

ZNAMY jedną tylko książkę francuską, która pozwoliła sobie odgryść przedimek „la”, ale to książka była plugawa (jej tytuł: „Pologne! Pologne!”) i nawet jako paszkwil przeżyć kilku dni nie mogła. Wycofano ją i wyrwano jej zatrute kły. Dlaczego „Wiadomości literackie” także „la” odgryzły? Ale o to mniejsza.

Od monumentu nudy, wzniesionego Kasprowiczowi w tasiemcowym artykule jak gdyby z czasów, kiedy do Paryża jeździło się dyliżansem pocztowym, aż do streszczenia szczegółowego „Dziejów grzechu” Żeromskiego dla użytku chyba gimnazjastów *polskich*, ale nie publiczności paryskiej — wszystko tu jest jeszcze na złej drodze.

Czytelnikom paryskim, nawykłym do prostoty i zwięzłości, do artykułów literackich, rzucających jasne smugi światła, do lotnych analiz i mocnych kreskowych, wyrazistych profilów — te abrakadabry krytyczno-informacyjne są czemś „horrendalnem”, jak mówią nasi bracia z Małopolski. To jakieś krzyżówki nie do rozwiązania.

Nie chcemy przez to powiedzieć, że trzeba koniecznie przystosowywać się do gustu i wygód czytelnictwa francuskiego. Bynajmniej! Nie o schlebianie

chodzi, lecz o *kunszt* pisarski, o zdolność przenikania i prześwietlania. Pisarz francuski zna swoje rzemiosło. Nawet gdy jest do nabycia, z notatki swojej lub szkicu zrobi rzecz z treścią i wyrazem, zrobi lusterko, w którem dany autor doskonale się przejrzeć może, zrobi podobiznę, w której będzie prawda. Takie zaś kolubryny, jak artykuły w „Pologne littéraire", wtaczać na zagony literatury francuskiej, djabelnie wytrawnej wituozce i żonglerce słów, akcentów i półtonów — to gaffa.

„Wiadomości literackie" nigdy właściwie krytyk i analiz pisać nie lubiły. Było to albo bicie czołem przed mocnymi, albo lansowanie miernot i pospolitych ludzi, albo wzajemne wypisywanie o sobie bujd pochlebnych.

Za wzór *rzetelności* i *zręczności* krytycznej, niech sobie „Wiad. literackie" wezmą np. stosunek „Les nouvelles littéraires" do Anatola France'a — czyli zachowanie się wobec wielkiego pisarza — znakomitego pisma, które, mimo wszystkie swoje kalkulacje, naprawdę umie pisać, pouczać i gromadzić. W 80 rocznicę urodzin arcymistrza dawniejszej prozy francuskiej — pismo to wraz z całą prasą złożyło mu hołd najwyższy — hołd zasłudze, talentowi, krystalicznej przejrzystości stylu, wielkiej pracy, miłości ludzi, spójności z tradycją rasy i literatury francuskiej. Ale dla krytyki uroczystość imienin jest tylko galówką, nie zaś nakazem zrzeczenia się swego kryterjum. Więc, gdy święto narodowe przebrzmiało—z jaką że misternością pismo owo wróciło do swego stanowiska! jakże słowy nie drażniącemi wykazało, że Anatol France w gruncie rzeczy ubierał się tylko w emblematy proroka humanizmu to znowu w proletarjackie godła bolszewizmu, komunizmu i t. p., w rzeczywistości zaś nie rozumiał ducha czasu i nie miał prawa przewodzić nowemu pokoleniu. Jego sceptycyzm nie odpowiadał gorączce i dynamice epoki. Jego chłodne wyrachowanie i ciułanie pieniędzy i zaszczytów– nie mogło być wtórem dla powojennych zapasów i zmagań się i t. d.

„Wiadomości literackie" niech sobie teraz jeszcze owe artykuły przeczytają—taka lekcja smaku i *posiadania* górnej, nieulicznej, *niewszetecznej* miary, może im się przyda. Lecz brać od „Les nouv. lit." wygląd i rodzaje rubryk a parodjować ich wypełnienie — to robota na zbyt już krótką metę.

Trochę młodości! Wyruszacie na podbój Paryża i chcecie być reprezentantami literatury polskiej, podobni będąc do bohaterów Jerome Jerome'a, którzy, gdy jadą zagranicę, biorą z sobą piernaty i poduszki.

Trochę nowoczesności i pamięci o tem, że świat dzisiejszy jest światem radja, awiatyki i walki na rozumy, a nie na spryciki!

Francuzi czują dobrze zatęchłą, duszną atmosferę która owiewa „Wiadomości literackie": mają cudny węch i oszałamiającą bystrość orjentacji. Spojrzą i przenikną. Taki dar jest zresztą obowiązkiem każdego *prawdziwego* literata...

SZOPKOWA KAPITUŁA.

ZWALAĆ całą winę znieprawienia naszej krytyki na „Wiadomości literackie", jak to ktoś uczynił w jakiemś trzeciem echu Sygnału „Białego Pawia" byłoby niesprawiedliwie. Nie są to przecież protoplaści, lecz spadkobiercy — złego ducha naszej krytyki, pokutującego w niej od ćwierciwieku. Odziedziczyli zadawnione nałogi zamilczeń, bojkotów, wyroków cywilnej śmierci na każdego pisarza, *idącego po linii większego, a cóż dopiero największego oporu.*

Również tendencja przeciwległa — bałwanochwalstwa — nie w „Wiad. lit." się zrodziła. Dorabianie wielkich brzuchów małogłowym fetyszom było u nas wynalezione wcześniej, alkowiem w chwili gdy się zaczęło grasowanie klik.

Wtedy to weszło w zwyczaj wywłaszczanie wielkich poetów z monografij, syntez i portretów, im poświęconych, eskamotowanie votów na ołtarzach

geniuszów, niszczenie i topienie w niepamięci najciekawszych koncepcyj krytycznych. Prawda, panie profesorze Kleiner?

Wy wszyscy, czcigodni panowie defraudanci bibliografji i historji literatury, którym za takie wyskrobywania nazwisk w księgach rachunkowych ducha należałaby się w obliczu każdego normalnie kulturalnego człowieka wieczna infamia — wy to przecie mimowolnymi suflerami jesteście „Wiadomości literackich". Czy one mogły oprzeć sią pokusie urządzania rewji panegirystów na grobach Żeromskiego, Reymonta i Kasprowicza, jeśli prawie wszyscy pisarze lepsi pomagali im? I skoro w takiej gromadzie zamilkł zdrowy rozsądek, mówiący, że pięćdziesiąt chwalb to bezsens; że napisane na zamówienie poezje to kpiny z literatury. Istotnie, tak słabych, jak w numerze poświęconym Żeromskiemu — z jedynym wyjątkiem wiersza Staffa — nawet w kalendarzach się nie spotyka.

Ci wielcy, co przysłali z różnych dzielnic kraju swoje blaszane wieńce na grób Kasprowicza, zupełnie na tę chwilę zapomnieli, co to jest oryginalna myśl, ciekawe spostrzeżenie, błysk światła, zwrot mowy odkrywczy, sięgnięcie sondą nurka w głębiny... Piękne słowa, jałowe i nastroszone, z garbami wielbłądów, z ozorami mrówkojadów, z trąbami słoni i nosami nosorożców — słowa i zdania nieszczere, półmartwe, zaciemniające i spychające problem istoty i znaczenia Kasprowicza do lochów naszej zwykłej płytkości i niewiedzy.

Jeszcze jedna sfuszerowana pozycja do bilansu przyszłego.

Więc „Wiadomości literackie" nie powinny dźwigać odpowiedzialności za zanik w naszej krytyce: *godności* i tego całego splotu obowiązków i prawd, który się w tem słowie zamyka. Wszyscy potrosze im pomagali — przez słabość i brak charakteru, przez chęć figurowania słowem, podpisem i fotografją — w urzędowym organie rewij literackich — w szopkowej kapitule orderu zasługi literackiej.

...To nie chęć szkodzenia i nie rzucanie kamieni pod nogi. „Wiadomości literackie" miały myśl dobrą, rozpoczynając wydawanie „La pologne littéraire". Był to naturalny, słuszny objaw ekspansji wydawniczej i utrafienie w wielką potrzebę chwili. Tylko żeby nie poszły na marne, trzeba otworzyć wszystkie wentyle w redakcji, z radykalizmem bezwzględnym wymieść zgniliznę przedwczesnej starości i znaleźć otwór na takie okno, przez które widzieć byłoby można — i zrozumieć — co to jest twórcza Europa, jakie są jej treści i formy, jakim językiem i z jakim cenzusem artystycznym do niej skutecznie przemawiać można.

HALLE MALARSKIE.

„MALARSTWO... NOWA RELIGJA" (LA PEINTURE... RELIGION NOUVELLE) — ADOLFA BASLERA.

JEST to jedna z książek, które w wielkiem morzu Paryża — nie utonęły, i jej autor, literat polski, oddawna nad Sekwaną zamieszkały, może się pochwalić, że nieco krwi napsuł i malarzom i „marchandom" i że go już tłomaczą na inne języki. Ponieważ sprzedawcy obrazów nazywają swe sklepy zazwyczaj „galerjami", byłaby racja nazwania ich „galernikami". Kupcy ci są, jak wszyscy wogóle kupcy na świecie, giełdą, ale są często i artystami i mecenasami. Wydają wspaniałe monografie i wydobywają z morza paryskiego talenty. Gdyby nie oni, byłoby może śpiąco i nierychliwo. Oni robią ruch w interesie — i miljony. Przez nich niejeden artysta żyje i tryumfuje — zamiast wegetować w poniżeniu i zapomnieniu. Niektórych nazwiska złączyły się nierozerwalnie z imionami wielkich przełomowców i odnowicieli, jak impresjoniści, i mają swój blask i zapisały się w pamięci sztuki tradycją pańskich giestów, pięknych pietyzmów i bystrości oka.

Ale ci galernicy muszą też i spekulować i grać. A więc — na zniżkę i na zwyżkę. Gdy kogoś „wypusują” i wylansują — gdy weń włożą znaczniejszy kapitał, będą podbijali ceny. Oni to są sprawcami tych olbrzymich oszacowań, na które biadał przed swą śmiercią wielki Klaudjusz Monet, ostatni z heroicznej plejady impresjonistów. Jedną z goryczy wspaniałego tego Mohikanina było to, że sztuka stała się przedmiotem obłędnych licytacji.

Tam, gdzie głos chóralny giełdy się rozlega — musi nastąpić pewne pomięszanie i zamazanie wartości.

Wtedy sztuce narzuca się kryterjum handlarzy. Zaczyna się sarabanda bożyszcz prawdziwych ale i bożków fałszywych. W jej wir tedy wpadł Adolf Basler i narobił hałasu. Zaczął nicować nieodwołalne wyroki i rewidować ceduły giełdowe.

Przez jego książkę przesuwa się „piętnaście lat kłamstwa”. Jest to długi pokaz wyśrubowań i rozczarowań, wzniesień i przemijań. Defilują przed nami wszyscy, co obsiedli szczyty, od Picassa i Deraina, do Sutina z jego tragicznie rozpłatanemi rybami, bitym drobiem i inną martwą naturą, rozkrzyczaną gwałtownym kolorytem. Basler trzęsie wieloma i z niejednego też wytrząsa wnętrzności. Jest on biegły w tych sprawach. Zna się na rzeczy i obyty jest z całym ruchem malarskim Paryża, tej przystani, dającej gościnę podobno 50.000-om plastyków wszelkiego rodzaju. Paryż ma obszerne i strawne wnętrze! Basler spaceruje po niem bez przewodnika. Nawet się dziwnem wydawać może, że literat-krytyk zna tyle obrazów i tylu artystów! Ale oto klucz: Basler jest sam marchandem — galernikiem i to podobno nie byle jakim. Taki powinienby być znawcą idealnym: i pisze i bada i kupuje i sprzedaje? Zapewne — doświadczenie olbrzymie!

Ale ta unia galernika z krytykiem — jest zarazem piętą achillesową pisarza. Można się obawiać, że nie pisze bezstronnie — choć pisze jędrnie i tęgo — nieco z polska barokową francuzczyzną. Może w tej książce rozdziały takie jak: „Ostatni biuletyn zdrowia malarstwa”. „E finita la Comedia” są podyktowane przez chęć nastraszenia malarzy i nauczenia ich mores wobec Baslera i napędzenia mu na „odczepne“ pięknych płócien. Może tam w te rozmowy dosadne i uwagi gorzkie (choć niezawsze dowcipne) wchodzi agent opasły: konkurencja?

Jakkolwiekbądź, książka jest odświeżająca, nieraz głębsza i subtelniejsza. Wprowadza niepokój i wypędza łatwowierność. Doskonale tchnie całym tym wielkim żywiołem malarskim Paryża i jest odgłosem najsympatyczniejszego z rynków — dyktującego światu swoje prawa.

To są „Halle” — malarskie, „Le ventre de Paris” — powojennej epoki lokat i ucieczki lepszych rzeczy do Ameryki.

NAD GROBEM CLAUDE MONETA.

POŁUDNIE grudniowe, pełne lekuchnych mgieł, wysoko ponad bulwarami Paryża... Tylko to jedno miasto potrafi tak się opalizować pod niebem, i taką aureolę subtelną rozetchnąć nad światem. W tę czystość górnej atmosfery, która nie jest zgoła przeczystą, ale owszem wypełnioną duszami dni zimowych, umierających szybko jeden po drugim, wsiąkły jak w powietrze Whistlera lub Moneta, wszystkie barwy impresjonistów; ukryły się w szarości, która przecież szarością nie jest i spływa na człowieka ukrytemi kolorami i rzeźwością niezmiernie złożoną — złożoną jak paleta, jak daleka wizja kwietnego ogrodu.

W takie właśnie południe Paryż przeczytał wiadomość, że przed kilkoma godzinami odszedł na zawsze sławny twórca „Impresji”, obrazu, od którego wziął nazwę cały kierunek, cała szkoła, cała wielka grupa wyswobodzicieli światła i koloru,—tych, co nadali sztuce prawo niewstydzenia się silnych gam,

tam gdzie one są, i nie cofania się przed rozrzutnością słońca i wszystkich tęcz — jego córek.

Klaudjusz Monet odszedł w skromnej swej rezydencji, w Giverny, w której mieszkał od pół wieku bez mała, jako starzec osiemdziesięciosześcioletni. Przeżył wszystkich swych współgeniuszów, wyprzedzony niedawno temu przez Renoira. Na odejście swe wybrał chwilę właśnie, w której samo niebo sączyło na Paryż impresjonistyczną sreżogę i zakonspirowaną w niej pełną skalę barw.

Paryż i cała Francja okryły się żałobą. Znowu zabrzmiał dzwon wspaniały pietyzmu, który w tym narodzie gra hejnał wielkiej wzniosłości, ilekroć żegnać się trzeba na zawsze z wielkim artystą, wielkim bohaterem, żywą legendą. Milknie wtedy dowcip, uśmierza się ironja, cichnie wrzaskliwe tętno stołecznego piekła: na chwilę przywrócony do łaski ton uroczysty sprawia wrażenie dziwnie szlachetne.

Rozchylają się nagle nieprzeliczone kwiaty pięknych artykułów i rozprostowywa ramiona, zapomniawszy na mgnienie oka o ciężkiej pracy codziennej — prastara kultura i z uśpienia powstaje świętość.

Paryż i przed tą ostatnią, wyroczną dobą śmierci—pamięta i czci swoich wybrańców. Dla wielkich starców ma, jak świat cały zachodni, tylko nieskażone uczucia uwielbienia i zainteresowania się losem, życiem, dniem każdym. A dziś wie, wobec trumny Moneta, że choć impresjonizm jako rewolucja w malarstwie się skończył, ale jego posiew wszedł organicznie w całą teraźniejszość, i że Cézanne—pień innego znów drzewa genealogicznego—z tej samej rodziny się wziął. Sztuka francuzka zawsze bywa wdzięczna swoim pionierom i siewcom, a pęd ku przyszłości nigdy jej nie oślepia i nie staje się synonimem chamstwa i brutalności.

Z słynnych wielkich starców Francji został już tylko Clemenceau. Był blizkim przyjacielem Claude Moneta i odprowadził go na wieczny spoczynek. Jego opuszczony wąs sumiasty i nawisłe wielkie brwi zdawały się mówić ponuro—po przez widoczny strumień łez:

— Chociaż jestem starym tygrysem, nawykłym do chodzenia samopas, to jednak dlaczego zostawiasz mię tak samotnym w puszczy ludzkiej — wielki, stary Druhu?..

GALERJA „BIAŁEGO PAWIA".

NIE TRZEBA, żeby wielka, nawet ogromna rzesza artystów-polaków, mieszkających w Paryżu, była jakąś wielką niewiadomą — a jak niektórzy może myślą: małą niewiadomą.

Nie, — to jest wielka niewiadoma. Składa się na nią z górą stu pięćdziesięciu plastyków. A są i wybitni muzycy i literaci. Wszyscy coś tworzą; jedni większe, inni mniejsze dzieła. Są żywi i nie wolno o nich nie wiedzieć— zwłaszcza o tej licznej kategorji, która nie znajdując poparcia w wielkiej społeczności polskiej, wrosłej raz na zawsze w grunt francuski zdołała sobie zyskać zwolenników obcych i znajduje śród nich nabywców swoich obrazów i rzeźb.

Trochę goryczy przymięszało się do karjery niejednego pracowitego i utalentowanego plastyka. Trochę żalu zagnieździło się w uczuciach wielu. Z rejestrów polskiej sztuki gotowi zniknąć — trzeba ich na widowni utrzymać. Dużo jest między nimi ciekawych natur i niezwykłych losów.

Będziemy dążyli do częściowego, bodaj szkicowego ogarnięcia tego wybranego tłumu; krótkiemi sylwetami przypomnimy o nich światu i swoim.

Dzisiaj i na tem miejscu zapowiadamy jeno — i uprzytomniamy niektóre nazwiska — nie wszystkie.

Oto Olga Boznańska — sława i powaga. Oto Józef Pankiewicz — niemniejsza powaga i mistrzowanie młodym. Mela Muter — autorytet i talent.

Henryk Kuna — już sławny i mający drogę wyrównaną po wielkich sukcesach rzeźb swoich. Terlikowski, Makowski, Kisling.

A potem Leopold Gotlieb, Szyk — głośny miniaturzysta, Hecht, Weingart, Kanelha, świetnie się zapowiadający, Zawadowski, Malicki, Kiergur — prezes całego związku, malarz i rzeźbiarz, — Mrożewicz, Koźmiński, Cykowski, Wróblowa, Chmieliński — bardzo niespodziany, Bogdanowiczowa — rzeźbiarka z inteligencją niecodzienną,

Na osobnem miejscu postawić trzeba jednego ze starszych choć wiecznie młodego i płodnego, Leona Kamira, z jego nierównością, z której nieraz wyrywają się pejzaże o wielkim smaku i szczerości.

Potem rzeźbiarz Blak, któremu oddawna należy się klasa rzeźby w jakiejś akademji. Szukalski — fantastyk i symbolista w rzeźbie, napewno nie całkiem codzienny. Dalej malarze: Marcussi, Mystkowski, Mondzaine (Mondszajn), Menkes i Langerman i t. d. i t. d.

Wszystkim należy się słowo charakterystyki, a niektórym i wyraz gorętszy.

A nieraz też i któryś z mistrzów obcych znajdzie się w tem towarzystwie. W życiu stykają się i spotykają, przyjaźnią i bratają, słuszna więc, ażeby nie brakowało i ich w tej galerji notat.

To będzie galerja, bezpretensjonalna ale szczera — „Białego Pawia”.

W E Z W A N I E.

ZNANY i bardzo ceniony malarz i powieściopisarz paryski, p. Robert Kastor, podpisujący się także Lionel Robert, układa wielkie album wszechświatowe najwybitniejszych ludzi ze sfer polityki, nauki, literatury i sztuki. W niezmiernie ciekawym i cennym tym zbiorze, liczącym już obecnie kilkaset portretów — akwafort z autografami, jako jeden z pierwszych figuruje Marszałek Piłsudski, jeszcze z okresu wcześniejszego swej wielkiej misji dziejowej. Ponieważ p. Robert Kastor, posiadający ponadto znaczną ilość znakomitości polskich, pragnąłby ją uzupełnić, przeto zwraca się za naszem pośrednictwem do ogółu ludzi wybitnie zasłużonych, zamieszkałych w Warszawie, z wiadomością, że będą one w najbliższym czasie proszone o łaskawe nadesłanie swoich fotografji wraz z autografami (aforyzmami) w języku polskim lub francuskim.

Ze sfer literacko-artystycznych i naukowych narazie proszeni będą o swoje podobizny: pp. Baudouin de Courtenay, architekt Noakowski, Zenon Przesmycki, Stan. Przybyszewski, Ludomir Różycki, Wacław Sieroszewski, Andrzej Strug, Karol Szymanowski, Aleksander Świętochowski, Kazimierz Tetmajer, Tadeusz Zieliński.

DZIAŁALNOŚĆ JÓZEFA PANKIEWICZA.

NAPŁYW plastyków polskich do Paryża był dotychczas wyprawą dojrzałych artystów po wielkie wzory i wypróbowane metody sztuki. Przechodzili oni niejako wyższy kurs wgłębiania się w arcydzieła i wchłaniania w siebie atmosfery, która je wydała lub też szczęśliwie zgromadziła i umiała związać organicznie z Paryżem.

Lecz instynkt osobisty w tych poszukiwaniach i podglądaniu mistrzów mógł być zawodnym i narażać na błędy. Niejednemu z adeptów potrzebny był drogowskaz, oparty na pełnem i wszechstronnem doświadczeniu i gruntownej znajomości malarstwa.

Takim drogowskazem stał się Paryski Oddział Krakowskiej Akademji sztuk pięknych. Istnieje on nie od tak dawna, ale odrazu zajął stanowisko poważne i z respektem nań patrzą nietylko artyści polscy. Kierownictwo powierzono Józefowi Pankiewiczowi.

Trudno było uczynić wybór lepszy. Malarz to z wielkim talentem, z bogactwem mocnych przeżyć artystycznych, w których walczył i zwyciężał, jeden z dwóch, co sprowadzili ongi do Polski odnowę impresjonistyczną — drugim był tak wcześnie zmarły ukochaniec bogów, Władysław Podkowinski. I jeden to z pierwszych, którzy na właściwej wyżynie postawili grafikę w wielkim stylu, dając tem dowód, że umie być nie tylko energicznym kolorystą ale i subtelnym wirtuozem kreski i rytu. Żaden rodzaj malarstwa nie jest mu obcym. Ma ich w sobie raczej za wiele, niż za mało. Znawca wielkich dzieł wszystkich czasów, spaceruje po bezkresnych rozłogach malarstwa, jak po swojem podwórku.

Być może, iż to znawstwo niezrównane było przyczyną, iż Pankiewicz niekiedy zanadto przejmował się innymi. Była to jakgdyby potrzeba osobistego, faktycznego przeżycia całą istotą — niektórych wybranych. Albo było to przerzucanie się w nową twórczą falę — a z fal takich składa się życie malarstwa.



Pankiewicz, jak mało kto inny, rozumie ten fakt ustawicznej przemiany i zmienności fali, więc jest zawsze nastawiony na zrozumienie każdego nowego kierunku, lub indywidualnego skoku w niezwykłość, dziwaczność i dzi ość (fauve).

Ale jedno cześnie zdaje on sobie doskonale sprawę, że na dnie wszelkich przemian musi tkwić wiedza rzemiosła, trudny dar kompozycji, pojmowanie, czem jest dzieło i czem jest obraz. Za wiele lat przeżył w Paryżu, w Hiszpanji, w Krakowie, za blisko obcował z koryfeuszami, żeby módz poprzestawać tylko na życzliwem uspasabianiu siebie dla nowego godła i nowej maniery. Wie, że ten nowy zew może okazać się pustym, jeśli nie będzie wsparty na realnych podstawach sztuki. Stał się więc nieco surowym wobec zapędów, w których jest wprawdzie śmiałość, ale więcej jeszcze dyletanctwa.

Pankiewicz stworzył sobie zasadę: „Wszystkie rewolucje malarskie z Luwru się biorą". Każda bowiem jest właściwie zerwaniem z prądem bieżącym i nawiązaniem do którego z dawnych wielkich artystów. Nie broni on nikomu być burzycielem, — owszem, raczej zachęca, ale przedewszystkiem żąda opanowania sztuki. Najpierw dokładne wtajemniczenie się — a potem burza i wywrót.

Można by na to odrzec, że po tak mozolnem studjowaniu nie ma już siły i rozpędu na burzę, ale na to Pankiewicz mógłby odeprzeć, że wszyscy przewrotowcy i przełomowcy we Francji byli przedewszystkiem wielkimi technikami, wirtuozami i kolorystami.

To jest myśl jego przewodnia, jako kierownika i nauczyciela.

Pankiewicz chce być bussolą dla błąkających się, a ponieważ tak wiele umie — poddawać im cześć dla umiejętności.

Wobec takiego założenia stosunek do sztuki polskiej jest niełatwy. Nie jeden obraz nadmiarę literacki, ideowy, fantastyczny i symboliczny, a raczej alegoryczny, Panki wicz wolałby widzieć przytwierdzonym do gruntu i nie szukającym sławy na Zachodzie, pomimo nawet wielki nieraz, olbrzymi talent i potężną indywidualność malarza. Wie on, że nawet śród egzaltowanych i zbyt ciężkich, są takie, które swym rzutem genialnym mogą zaimponować,

ale że są i takie, których nie zrozumie i nie oceni życzliwie, choćby najbardziej elastycz a w swym smaku grupa sztuki w Paryżu.

Pankiewicz jest niezdolny do jednostronności, obejmuje rzeczy szeroko i jest głęboko zrównoważony. Tym razem o dyrektorze akademji powiedzieć można *The right man on the right place.*

ANKIETA—DYSKUSJA.

1. Wyższe studjum literatury polskiej.

ŻYCIE potężną nawałą mknie naprzód—i coraz nowe potrzeby płodzi, nowe kształty i byty koniecznemi czyni. Do takich form nowych, o które rzeczywistość woła namiętnym głosem, należy nowoczesne i nowożytne łożysko, które wyżłobić należy życiu kulturalnemu Polonii francuskiej. Teraz bowiem jest mu niewygodnie, ciasno i staroświecko.

Przyjąwszy jako fakt, historyczny, ekonomiczny i międzynarodowy, że w Paryżu mieszka kilka tysięcy inteligencji polskiej, i traktując to zjawisko jako nieodzownie stałe, należy stworzyć dla tej inteligencji *wyższe studjum polskie,* w którem by ona uświadamiana była o wielkich rzeczach, dziejących się w literaturze i kulturze polskiej. Współczesną poezję polską, niezmiernie rozrosłą i rozgałęzioną, przerosło może olbrzymie drzewo powieści polskiej, które stale utrzymuje się na wyżynach czystej, szlachetnej sztuki. Silnie napięta i nieustająca twórczość Sieroszewskiego, Struga, Kadena-Bandrowskiego. Zofji Nałkowskiej, Goetla, Choynowskiego i wielu innych, przezwyciężyła zastój wydawniczy, truchlenie księgarzy i bierność ogółu i całą baissę czytelnictwa i wierną jest wspaniałym tradycjom powieści polskiej.

Owe tysiące polaków francuskich, stanowiące małą cząstkę kolonii 37-mio tysięcznej polaków paryskich (nie mówimy tu, rzecz prosta, o wielkiej tylokrociowej armji, służącej przemysłowi francuskiemu) świadomie i podświadomie pragną być w stałym kontakcie z wielką twórczością literacką polską. Niedawno, jeden ze zdolniejszych malarzy, Chmieliński (syn znakomitego aktora teatru Narodowego), głośno tę myśl wypowiedział. Noszą ją w sobie i inni.

Można usunąć za nawias tych, co nie czują i niedomyślają się żywości i wartości literatury polskiej, co wolą Claude Farrère'a i Maurice'a Dekobra i mniemają, że to jest — elita romansu francuskiego. Przecież nawet w Warszawie powstała osobna spółka wydawnicza, dla propagandy „Madonny Sleepingów" i związanych z nią afrodyzjaków. Ta kategorja pochłaniaczy powieści może odpaść i żalu po niej być nie powinno. Ale cała wielka reszta i cała owa młodzież wychowana i udyplomowana we Francji, która niechce poddać się wynarodowieniu—chce mieć takie wyższe kursa literatury polskiej.

Jest już dzisiaj zresztą bardzo wielu francuzów, którzy znają język polski i przy swojej słynnej, wprost zachwycającej—ciekawości dowiedzenia się rzeczy nowych — niewątpliwie byliby słuchaczami gorliwymi. I tą też drogą świat by się dowiedział, że literatura polska posiada tę wielką technikę i przytomność artystyczną i bogactwo myślowe, że nie potrzebuje czynić żadnych ustępstw, nie potrzebuje zgadzać się na adaptacje i protekcje i powinna tylko *trwać i być sobą* — a zajmie najwyższe szczeble.

Ogłaszamy tedy tę myśl wyższego studjum polskiego, w jej konturze pierwotnym i surowym, i wzywamy do dyskusji. Na łamach Białego Pawia niech jak najliczniejsi się wypowiedzą i pomogą do spopularyzowania koncepcji; adres redaktora znajdą na drugiej stronie okładki.

Oczywiście, idzie tutaj, należy podkreślić, o wyższe studjum. Praca bowiem kulturalno-oświatowa dla warstw polskich o mniejszym lub bardzo małym cenzusie wykształcenia — jest w Paryżu znakomicie postawiona i doświadczonemi dłońmi prowadzona.

2. *Klub polski — Dom polski.*

W niewątpliwym związku z projektem powyższym, pozostaje inny, który tamtemu pomógłby do przyobleczenia się w ciało: projekt klubu i domu polskiego. Ta myśl już nie na tych kartach się zrodziła. Wychyla się ona często z rozmów i zwierzeń i dla wielu stanowi przedmiot stałych medytacji i marzeń. Wszystkie kolonie, nawet narodów drobnych, mają tutaj swoje towarzyskie i kulturalne ogniska — tylko Polska — jedna z najliczniejszych — nie posiada żadnego. Własną siedzibę z bibljoteką, salą narad, salą odczytową, salą reprezentacji i t. d. — zastępuje kawiarnia ze wszystkiemi jej kwalifikacjami do rozpraszania myśli i uwagi w atmosferze młócenia słomy międzynarodowej.

Z tej anomalji wielu artystów polaków dobrze zdaje sobie sprawę. Ma ją, ale powinien mieć jeszcze mocniej na sercu p. Stefan Kiergur. Trzeba nareszcie ruszyć z martwego punktu teorji i pobożnych życzeń. Sto kwestyj się wtedy rozstrzygnie i życie umysłowe Polonji się wzmoże i odnowi.

W Paryżu nie brak możnych jednostek i rodzin polskich. Trzeba uderzyć w wielki dzwon...

I w tym przedmiocie — nawołujemy do dyskusji i zorganizowania opinji.

INTRYGI „BIAŁEGO PAWIA".

NA GŁOS PROPAGANDY.

NA WIADOMOŚĆ o powstaniu w Paryżu „Towarzystwa popierania stosunków artystycznych między Francją a Polską", stanowiącego oddział instytucji centralnej w Warszawie pod nazwą: „Towarzystwo szerzenia sztuki polskiej śród obcych" — mnóstwo artystów, zwłaszcza ze sfer muzycznych i teatralnych, ujrzało już na niedalekim widnokręgu, ziszczone swoje marzenia: przedstawienia się publiczności stolicy świata.

Powinni się uzbroić w cierpliwość. Program krzewienia znajomości sztuki polskiej oraz wymiany manifestacji artystycznych, który powołała do życia inicjatywa p. ministra Targowskiego i p. ambasadora Chłapowskiego, zatacza coraz szersze kręgi. W nich z czasem zmieści się wszystko. Lecz wyjątkowe znaczenie terenu paryskiego dla twórczości polskiej i wyjątkowe znawstwo, właściwe kołom artystycznym Francji — nakazują wielką rozwagę. Paryż to jednakże nowoczesne boisko igrzysk olimpijskich, to zawody wielkoświatowe i wszechświatowe, gdzie należy występować w szranki dobrze uzbrojonym i mocno przysposobionym. Żadne popisy dorywcze, dyletanckie i amatorskie, żadne składanki koncertowe, choćby się one nawet nazywały „festivalami" — nie znajdą tutaj rzetelnego poklasku.

Powinno się przeto, w odróżnieniu od dotychczasowego marnotrawstwa pieniędzy, sił i zabiegów w prasie francuskiej o dobre cenzury — nie rozpraszać ambicji, lecz ją skupiać w istotnie wielkie, przekonywujące manifestacje; powinno się demonstrować swój plon sztuki różnorodnej okazale, w dużym stylu, w dziełach najlepszych, najwybrańszych. Takich jest w Polsce poddostatkiem.

Inna rzecz wyjazdy i występy dla kulturalnego użytku olbrzymiej kolonji polskiej, zwłaszcza z okręgów przemysłowych. To już praca raczej oświatowo-artystyczna śródpolska. Nie wiąże się ona ze sprawą propagandy międzynarodowej. Posiada swoich rzeczników i kierowników, pełnych poświęcenia, jak np. dr. Edward Woroniecki, prezes Tow. Miłośników sceny polskiej w Paryżu, krytyk sztuki, oraz p. Janina Zarzycka, która cały swój talent i pracę oddała na usługi teatru polskiego, jako reżyserka i mistrzyni.

WIELKIE KONCERTY I WIELCY I MALI SOLIŚCI.

Na koncerty wielkie — stać muzykę polską. Najnowsi nasi kompozytorowie mogą swój dorobek przedstawić trzydziestu narodom, zebranym w Paryżu. Swoje pierwotne natchnienia niemieckie, wagnerowsko-straussowskie pokryli oni nową inspiracją epoki Debussy'ego i Strawińskiego i tych wszystkich, co się urodzili lub stali francuzami; więc już chociażby dlatego będą zrozumiani. Zresztą mają nad sobą zawsze opiekuńcze skrzydła Chopina. On ich ochroni przed insynuacją, że muszą szukać tematów śród obcych. On da świadectwo tej prawdzie, że sztuka wielkiej formy, kolorytu, wykwintu i czystości stylu i w Polsce dawno już temu zapuściła korzenie. Paryż niechaj spełnia rolę wiecznego budziciela, poszukiwacza i sprawdzianu nowych wyrafinowań i światłocieni.

Koncerty polskie powinny być: symfoniczne, kameralne i wieczory pieśni. Zebrało się już dość i poematów symfonicznych i całych symfonij, kwartetów i pieśni kunsztownie sharmonizowanych.

Można ułożyć wiele doskonałych programów, które przebojem wezmą publiczność, słusznie chlubiąc się Karłowiczem i Noskowskim, lecz unikając zbytniej retrospektywności. Należy oprzeć się przedewszystkiem na Karolu Szymanowskim, Maliszewskim, Różyckim, Szopskim, Melcerze, Morawskim, Perkowskim. Nie wydajemy tutaj patentów z tendencją urażenia jednych a schlebienia innym — tylko natrącamy. ycie muzyczne jest najbardziej zmienną falą. Coraz to więcej i nowych przypływa na niej nazwisk i utworów. Intrygujemy dla dobra wszystkich i intrygujemy też przeciw płaskiej intrydze, połączonej z ignorancją, która stale dotąd pomijała Aleksandra Tansmana, modernistę krańcowego, o wielkim twórczym entuzjazmie, stojącego w opinji całego świata muzycznego na znacznej wyżynie. Rzadko kiedy niema jego nazwiska w programach wielkich koncertów symfonicznych paryskich.

Co do oper... Nie kwapmy się! Niech wprzód będzie przygotowany grunt i złamane będą uprzedzenia. W każdym razie trzeba zrezygnować z oper, których treść zakonserwowała w sobie sielankowość, instrumentacja idylliczność, a melodyka — niebezpieczeństwo spłowienia i zblaknięcia.

Głównie zaś strzeżmy się przed małymi solistami — dla ich własnej skromnej chwały, którą łatwo na szwank narazić. Jest dość wielkich wirtuozów: Paderewski, nazwisko dziś równie magiczne jak dawniej, Artur Rubinsztein, Ignacy Frydman, Bronisław Huberman, Paweł Kochański, Wanda Landowska, Lachowska, Ada Sari, wszyscy czujący po polsku; choć globtroterzy, zawsze i wszędzie manifestują swoją polskość. Nikt z nich nie odmówi udziału w koncercie reprezentacyjnym w Paryżu, przyjadą z końca świata, jeśli zobaczą zdaleka latarnię morską wielkiego stylu.

KOMEDJE I FARSY.

Wobec łatwej pokusy wystawienia w Paryżu którejkolwlek z nieprzeliczonych komedyj i fars, granych w naszych teatrach z pierwszorzędnem powodzeniem i wynoszonych pod niebiosa, jedynym sposobem uniknięcia niepowodzenia, a nawet fiasca, byłaby przetłómaczenie z powrotem na francuski którejś z komedyj Flersa i Caillaveta, Bernsteina lub Savoira... Można to uczynić także ze sztukami włoskiemi...

STABAT... MULIER DOLOROSA.

Stała zapłakana przedemną jedna z niewiast piszących. Zaczęła oto tłómaczyć na francuski jednę z powieści polskich, całowaną, kołysaną i pieszczoną przez wszystkich krytyków z pod znaku „Wiadomości Literackich" oraz ich adherentów — jako dziecię cudowne, objawione i oto okazało się, że dwie inne tłomaczki już ją na krosna swoje pisarskie wzięły. Wypadało pocieszyć i ukoić rozżaloną.

— Otrzyj łzy, kobieto, równie pracowita jak czuła! Blogosław los, że ci oszczędził rozczarowania. Pawieść ta będzie przetłómaczona, ale żaden francuz nie potrafi sobie wytłómaczyć jej rozgłosu. Będzie znowu wzruszanie ramionami — na naiwność i dzieciństwo. Będzie to znowu „echec" wydawnicze i przepadną czyjeś dziesiątki tysięcy franków...

Nie jest to powieść ani Żeromskiego, ani Struga, ani Sieroszewskiego, ani... Zgaduj zgadula, w którem ręku złota kula — ale ciesz się, że boleć, choć poniewczasie, będą twoje bliźnie...

ODPOWIEDŹ NA PLOTKĘ.

JUŻ PO złożeniu i przełamaniu artykułu p. t. „Występy Benjaminków w Paryżu" dowiedziałem się, że miałem być spalony na stosie z powodu niezbyt przychylnego przyjęcia sztuki Wacława Grubińskiego w paryskim teatrze des Mathurins.

Nikt z roznosicieli tego wyroku nie umiał mnie objaśnić, co może łączyć moją skromną osobę z „Niewinną grzesznicą" ani na czem mogła polegać moja krecia pod nią robota. Ale ponieważ wymieniano także nazwisko Edwarda Woronieckiego, jako drugiego winowajcy, któremu miano wszakże połamać tylko palce u rąk, przeto domysł się nastręczał, że miejscem spełnienia zbrodni był paryski oddział „Towarzystwa szerzenia sztuki polskiej śród obcych".

Oświadczam tedy:

Ani ja ani nikt inny w Radzie powyższego Oddziału o zamiarze wystawienia komedji Grubińskiego w Paryżu nie wiedział. Ani autor, ani Ambasada, ani biuro prasy — nikt się do Rady nie zwracał i nikt w kołach artystycznych polskich również nic o premjerze nie wiedział.

Mglisto natrąciła coś o niej pewna młoda niewiasta, która przyszła do niżej podpisanego, jako delegatka związku autorów i kompozytorów, zajmujących się tłomaczeniem operetek i lżejszych utworów do śpiewu, i wyraziła nadzieję, że Towarzystwo zaintere-

sujc się nimi bliżej. Napomknęła też coś mimochodem, że ma być wystawiona sztuka Grubińskiego, lecz uczyniła to tak pogawędkowo, że przedmiot ten sam zeszedł z toku rozmowy de omnibus et quibusdam aliis. Tem naturalniejsze to było, że już półtora roku temu nie spełniła się stanowcza zapowiedź prasy warszawskiej, że inna sztuka Grubińskiego, „Kochankowie", będzie grana w Paryżu. P. Grubiński trochę nieopatrznie szafuje takiemi zapowiedziami i przez to sam odbiera im powagę i umniejsza wiarogodność. Dlaczegoż jednak on, który tak bardzo nowocześnie umie dawać znać o sobie przed każdą swą premjerą i po premjerze — był tym razem tak bardzo wstrzemięźliwy?

Prawdopodobnie coś wiedział o tem, że Oddział paryski tylko co się był zorganizował i że był wczoraj jeszcze w tem stadjum początkowem istnienia, iż nicby dla „Niewinnej grzesznicy" uczynić nie mógł, prócz chyba szerzenia sympatycznego nastroju drogą prywatną, gdyż ani środków nie posiadał, ani sposobów ani takiego aparatu, któryby mógł oddziałać na opinję francuską — do krańcowości nieufną i do pozyskania trudną.

Ale główna, że kwestja premjery nie figurowała na żadnym porządku dziennym obrad Towarzystwa; nie było żadnych na jej temat dyskusji, ani nawet rozmów, ani nawet okolicznościowej wymiany zdań — nie było żadnej sposobności ani możliwości okazania p. Grubińskiemu jakiejkolwiek niechęci lub nieżyczliwości.

Skąd więc cała ta wersja i cały ten wyrok?

Z braku u kogoś tam rozumu, intuicji i inteligencji.

Cezary Jellenta.

SPIS RZECZY:

Ekspedycja „Białego Pawia" w „Domu Książki Polskiej", Plac Trzech Krzyży 8. Sprzedaż egzemplarzy pojedynczych w księgarniach, kioskach i u sprzedawców ulicznych. Adres Redakcji w Warszawie — Hoża 39, m 26. Tel. 197-28. W Paryżu, 15, rue Delambre.

Wydawca: Towarzystwo wydawnicze „Rapsod". Redaktor: **Cezary Jellenta.**

DRUK. M. S. WOJSK. WARSZAWA PRZEJAZD


SZTVKA
LITERATVRA
IDEA